

J e r z y P e l c

Rozmyślania o wierzeniu

1. Wstęp

Było tak: gdy zbliżałem się do dziewięćdziesiątki, Komitet Nauk Filozoficznych PAN zwrócił się do mnie z propozycją, abym udzielił wywiadu. Po wymianie listów ustaliliśmy, że wywiad będzie pisany. Wśród pytań, które przysłał mi pan dr hab. Tadeusz Ciecierski, jedno dotyczyło mojego stosunku do religii. Pytający jest w wieku mojego wnuka, więc przypuszczam, że inaczej niż ja podchodzi do tej kwestii. Natomiast moją uwagę przykuło. Zapewne dlatego, że „*magnis itineribus* ku śmierci płynę”, więc jako przywykłem do tego, by przewidywać, co będzie robił, a ściślej, co go czeka, może za kilka dni, tygodni czy miesięcy – raczej niż za kilka lat, wydało mi się godne namysłu i odpowiedzi dłuższej niż na jedno z wielu zagadnień podniesionych w wywiadzie. Stąd się wzięły poniższe nieuporządkowane myśli... o utracie własnej przyszłości; tak – bo każdy ma swą własną przyszłość, a w chwili zgonu – tak sędzę – ją traci.

Pół żartem wytłumaczę, dlaczego, łamiąc kolejność chronologiczną zobowiązań, które przyjąłem, zabieram się do tych *Rozmyślań o wierzeniu*, a nie do odpowiedzi na inne pytania, choć tamte zostały mi wcześniej zadane w wywiadzie. Otóż nie tylko dlatego, że ta właśnie sprawa jest dla mnie śmiertelnie poważna, w dosłownym sensie wyrazu „śmiertelnie”. Jest jeszcze jeden powód. Boję się, że z przyczyn naturalnych nie zdążę z moją niniejszą „ostatnią spowiedzią”, i że nie zostanę do niej dopuszczony, tak jak w dzieciństwie nie zostałem dopuszczony do pierwszej spowiedzi już w pierwszej, lecz dopiero w drugiej klasie powszechnej (dziś „podstawowej”), a więc o rok później niż rówieśnicy. Bardzo wtedy przeżyłem tę krzywdzącą niesprawiedliwość. Moja szkoła nazywała się „Katolickiego Związku Polek”, co każało oczekiwać

wysokiego poziomu nauczania religii. Nie wątpię, że tak było. Pani katechetka Maria Kączkowska poleciła nam przeprowadzić rachunek sumienia. Byłem od początku studiów „prymusem”. Więc pomyślałem sobie, że skoro lekcje pisania zasługują na ozdobne szlaczki z ornamentacją florystyczną lub geometryczną, oddzielające poszczególne prace domowe, to coś dopiero taki rachunek sumienia! Sporządziłem więc starannie tabelki na cały tydzień, z kratkami „do obiadu” i „po obiedzie”, i powpisywałem swoje grzechy. W nocy nie grzeszyłem. Potraktowałem tabelkę jako „to, co zadane”, i dumny, pokazałem katechetce. Ku memu całkowitemu zaskoczeniu zasłoniła oczy i zamiast mnie pochwalić za staranność zaczęła głośno się zarzekać, że nie wolno jej na to patrzeć, i coś o łamaniu tajemnicy spowiedzi św. Nic z tego nie zrozumiałem. Ale kara była surowa: uznała, że jestem niedojrzały do tego, by z innymi dziećmi przystąpić do pierwszej spowiedzi i komunii św. Musiałem czekać cały rok. Bardzo to wtedy przeżyłem. Ale nie jako zasłużoną karę od Pana Boga, lecz jako niesprawiedliwą ocenę wystawioną przez „panią od religii”. Jeszcze do niedawna moi ówczesni koledzy z „ławy szkolnej” na Wareckiej 15 mogli potwierdzić autentyczność całego zdarzenia. Dziś już nie mogą, bo poumierali. A byli to ludzie zasługujący na zaufanie. Później znaleźliśmy się w tym samym gimnazjum Batorego, a jeszcze później – jako profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego: Krzysztof Tatarkiewicz, matematyk, syn Władysława filozofa, Jan Rusiecki, anglista; a Katarzyna Wasiutyńska, siostra Wojciecha (ONR-Falanga) i całego klanu Wasiutyńskich, uczniów Gimnazjum Batorego, ponieważ nie mogła wstąpić do naszej męskiej wówczas szkoły, przynajmniej wyszła za batoraka, Zbigniewa Latałłę, późniejszego wybitnego pediatrę. Kasia była ulubienicą naszej pani katechetki: umiała stroić pobożne minki, rączki do modlitwy składała tak, by duże palce tworzyły krzyż, co było nam zalecane, i zadawała pytania w rodzaju: czy jeśli po spowiedzi, a przed komunią, połknie się przypadkiem łyk wody podczas mycia zębów, to – choć nie na czczo – wolno przyjmując Najświętszy Sakrament.

Ale przejdźmy do teraźniejszości, a więc do zapowiadanych rozmyślań o wierzeniu. Odpowiedź na pytanie, jaki jest stosunek poszczególnego człowieka do religii, sprowadza się moim zdaniem do uprzytomnienia sobie przezeń, czy wierzy, że po życiu doczesnym, zakończonym śmiercią, czeka go „życie wieczne”; jest to więc kwestia nie tylko śmiertelnie istotna – znowu w dosłownym sensie słowa „śmiertelnie” – ale jako dotycząca tego, w co wierzy, osobista, intymna. Ja zaś unikam wypowiadania się o sobie w sprawach intymnych, jestem bowiem introwertykiem, nieskorym do tego, by przed innymi „głęb serca otwierać”. Oczywiście nie tylko sprawy wiary zaliczam do intymnych. Zależnie od miejsca i czasu różne kwestie stanowią tabu. Np. w pewnych kręgach społecznych lub pracowniczych dzisiejszych Stanów Zjednoczonych pytanie kogoś o wysokość jego zarobków uchodzi za

złamanie tabu, podczas gdy pytanie, do jakiego Kościoła należy, nie jest objęte obyczajowym zakazem społecznym. Są kraje lub sfery towarzyskie, w których rozmowy o chorobach uważa się za zachowanie w złym tonie, w innych dolegliwości własne i cudze oraz ich objawy, niekoniecznie apetyczne, stanowią ulubiony temat konwersacji towarzyskiej, nawet podczas posiłków. Zresztą ocena, co stanowi tabu, a co nie stanowi, jest zapewne sprawą indywidualną.

Apel o publiczne „dawanie świadectwa wiary” wydaje mi się niesłuszny w obecnych czasach i traktuję go jako naruszenie granic sfery prywatności każdego człowieka, dokonywane przez instytucje, zrzeszenia i jednostki w ich interesie politycznym czy propagandowym. Nie stosuję się do tego wezwania, bo uważam, że podczas gdy jest ono uzasadnione, ilekroć danej ideologii, m.in. religii, grozi niebezpieczeństwo, więc wyznawcy powinni pospieszyć jej na ratunek, m.in. manifestując swe przekonania i to, że stoją przy niej murem, o tyle wtedy gdy owa ideologia rozkwita i panuje, takie przejawy poparcia i gotowości obrony stają się zbędne, a nawet mogą budzić podejrzenia, że są nieszczerze i stanowią przejaw oportunistu lub postawy i zachowań świętoszków. Manifestowanie swego poparcia dla religii lub ideologii, którym nic nie zagraża, bywa motywowane w sposób niekiedy naganny, np. wyrachowaniem nastawionym na poklask. Toteż niesmak budzą we mnie zabiegi interesownych polityków, gdy publicznie okazują swoje uczucia religijne, każą się filmować, jak klęczą przed świętym obrazem lub biorą udział w uroczystościach religijnych oraz obłudnie a interesownie zabiegają o względy i poparcie hierarchów panującego wyznania i rzeszy jego wyznawców, którzy notabene dla osób tego pokroju są niczym innym, jak tylko mięsem wyborczym. Taką wyprzedaż swych przeżyć intymnych kwituje powiedzenie „modli się pod figurą, a diabła ma za skórą”, jak też rymowanka ludowa „Jam twój, tyś mój, podzielim się zyskiem; Ja w potrzebie zawsze ciebie pocałuję z pyskiem”. Od tego rodzaju wypadków należy odróżnić sytuacje, w których względy konspiracyjne dyktują posługiwanie się znakiem przynależności do grona wyznawców pewnego zbioru wierzeń. Tak było np. w okresie prześladowań chrześcijaństwa, gdy ówczesne władze ścigały i karały chrześcijan, więc ci musieli ukrywać się w katakumbach i wizerunek ryby był ich znakiem rozpoznawczym (głoski rzeczownika *ichtys*, po grecku „ryba”, jeśli potraktować go jako akronim, układają się w pierwsze litery składników zwrotu „Jezus Chrystus, syn boży, zbawiciel”).

Jeśli mimo wyliczonych tu moich zastrzeżeń decyduję się napisać o miejscu religii w życiu ludzkim, to dlatego, że w odróżnieniu od relacji „ja a religia”, skoncentrowanej wyłącznie na mojej osobie, relacja „X a religia”, czyli „człowiek a religia”, a tym bardziej „człowiek a wierzenia nie poparte obiektywnymi danymi”, godne są przedyskutowania.

2. *Horror mortis*

Zagadnienie mojego stosunku do religii należy do takich pytań, na które wraz z biegiem czasu moja odpowiedź ulega zmianie. Ale przypuszczam, że nie tylko mojego stosunku i że wiele osób zmienia swe stanowisko w tej sprawie, w miarę jak myśli o śmierci oraz związane z tym uczucia – a myśli te i uczucia, jak wspomniałem, wiąże z wierzeniami religijnymi bądź parareligijnymi – z nawiedzających niezmiernie rzadko, abstrakcyjnych i odległych stają się dla człowieka codzienne, bo aktualne.

Myśli o śmierci, a wraz z nimi o tym, jak od niej uciec w sferę „nadprzyrodzoności”, nawiedzają człowieka zwłaszcza w dwóch sytuacjach: niezależnie od wieku, ilekroć jemu lub jego bliskim zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, a coraz częściej na starość, kiedy raz po raz powraca przewidywanie nadchodzącego nieuniknionego końca. Owo *memento mori* nachodzi nas zrazu rzadko. W dzieciństwie zjawia się na skutek zdarzeń w najbliższej rodzinie: jak odejście rodziców i innych krewnych ze starszego niż nasze pokolenia. W umyśle małego dziecka nie ma miejsca na pojęcie śmierci. Osierocone, ufnie przyjmuje to, co mu mówią starsi: „mamusia jest tam, w niebie, u Boży, razem z aniołkami, ty jej nie widzisz, bo jest za tą chmurką, ale mamusia przez cały czas cię widzi i opiekuje się tobą, a ty kiedyś pofruniesz do mamusi i zawsze będziesz z nią razem”. Dziecko, choć rośnie, nadal nie przyjmuje do wiadomości, że ono i jego najbliżsi kiedyś przestaną żyć; odpędza tę myśl, wyjątek czyni dla „robaka”, którego rozgniotło, „bo jego to nie boli”, i dla pisklęcia, które było niegrzeczne, więc „mama-wrona za karę wyrzuciła je z gniazda”: one nie żyją, „bo nie uciekają”. Później śmierć przypomina o sobie, gdy umierają nasi nauczyciele i wychowawcy. Potem, w wieku dojrzewania staramy się ją oswoić i odegnąć, a gdy już dorastamy, okazać jej junackie lekceważenie, m.in. środkami językowymi. W czasie okupacji zamiast „został rozstrzelany” uciekano się do żalosnej, niby to „eufemistycznej”, metonimii: „dostał w czapę”, a w czasie Powstania mówiliśmy „dadzą ci krzyż walecznych, ale najpierw drewniany”. Nie mówiło się, że „poległ”; słowo haniebnie dziś nadużywane, bezwstydną uzurpacją, która bezczęści pamięć tych, co naprawdę polegli walcząc w obronie Ojczyzny, a uwłacza tym, którzy ponieśli śmierć w strasznej katastrofie lotniczej, podsuwa bowiem myśl, że zasłużą na powszechną pamięć i żal wtedy tylko, gdy przebierze się ich ciała w mundury poległych, włoży do rąk broń poległych, na grobach położy wieńce zabrane z mogił poległych, a nazwiska ofiar wypadku wymiesza w jednym apelu z nazwiskami poległych.

Z biegiem lat coraz częściej na miejsce adresów i numerów telefonu przyjaciół, kolegów, znajomych wpisujemy numery kwater cmentarnych. I coraz częściej są to zapiski o rówieśnikach lub ludziach młodszych niż my. Stopniowo wokół nas zapanowuje pustka, a świat staje się coraz bardziej obcy i nie-

przyjazny, coraz mniej zrozumiały. Myśl o śmierci zaczyna do nas powracać co dzień, nawet wielokrotnie każdego dnia, aż wreszcie przestaje człowieka opuszczać, nawet na chwilę. Jest stale z nami, jakby tuż za kulisami, gotowa stopić się z każdą myślą o innych sprawach: planowaniu wszelkich działań, rozpoczęciu czegoś, załatwieniu, zakupie, terapii: już nie warto, już za późno, już nie zdążysz.

Pragnę uprzedzić, że przedstawiając stosunek *X*-a do religii będę tu miał na myśli wszelkie religie, a nie jakąś jedną, wybraną, którą jej wyznawcy uważają za jedyną „prawdziwą”, np. nie tylko tę religię, w której zostałem wychowany. Można by się posłużyć dawnym rozróżnieniem ortograficznym, według którego dopełniacz liczby mnogiej opatrywano w takich wypadkach końcówką „-ij”, „-yj”, podczas gdy w liczbie pojedynczej pisało się „-ii”, bądź „-ji”. A zatem będę się starał naświetlić stosunek dowolnej jednostki do wszelkich religii, a nie do religii rzymsko-katolickiej, w której ja sam zostałem wychowany. Co więcej, do religii w najszerszym rozumieniu tego słowa, dotyczących wszystkiego, co „nadprzyrodzone”, i z tym, co „nadprzyrodzone”, związanych, np. instytucji, ludzi, którzy w nich działają, obrzędów, tradycji, etyki, praw, zakazów i nakazów, obietnic, katechizacji, pracy misyjnej, liturgii, celibatu księży, *in vitro*, antykoncepcji, aborcji, samobójstwa, eutanazji, wreszcie wojen religijnych, w których zabija się nawracanych niewiernych, aby za swe życie doczesne w błędzie otrzymali w zamian błogosławiony żywot wieczny w jedynej prawdziwej i świętej wierze. Ponadto oprócz religii będę tu miał na uwadze wszelkie twory myśli i uczuć ludzkich, nie będące wprawdzie zdaniem specjalistów religiami, ale odgrywające analogiczną rolę i spełniające analogiczne zadanie w naszym życiu: zadanie usuwania lub łagodzenia lęku przed unicestwieniem, przed kresem istnienia. Istnienia własnego oraz istot bliskich. Służą do tego m.in. egzorcyzmy, różnego rodzaju wierzenia, mity, zabobony, przesady, seanse spirytystyczne, na których przywołuje się „duchy” zmarłych, „czary”, „odczynienia”, praktyki babek-zielarek, które „zamawiają” chorobę, znachorów, szarlatanów i uzdrowicieli, którzy pacjenta osłaniają „kosmicznym” kloszem albo szczelnie otulają „magnetycznym” woalem, uniemożliwiającymi „złemu” osiągnięcie człowieka, „uśmiercającymi” zaś „złe” uwięzione wewnątrz tej osłony. Na równi z religiami wszystko to stwarza ludziom azyl, miejsce „spotkania” ze zmarłymi lub miejsce schronienia i ucieczki przed strachem i rozpaczą, które są reakcją na przerażającą dla niejednego wizję wieczności i nieuchronną zmianę tego, co znane, na bytowanie na wskroś niepojęte albo niebyt, jedno i drugie niewyobrażalne.

Zbyt łatwe i nieplodne wydaje mi się pogardzanie tymi rozlicznymi substytutami religii, które – tak jak i one – są zastosowaniami działania placebo, a wytykanie ciemnoty i głupoty uciekającym się do tych zabiegów. Miarą przydatności, dobroczynności i powodzenia tych środków autosugestii jest ich

skuteczność, a niejednokrotnie okazują się skuteczne: uspokajają i przynoszą ulgę, ale tylko tym, którzy w nie wierzą, stąd wzrost ich popularności w okresach zagrożeń, nieszczęść i klęsk. Np. w czasie wojny i okupacji wzrosły skokowo: liczba wizyt u wrózek, rozpowszechnienie seansów spirytystycznych i praktyk radiestetycznych oraz wszelkich prorostw i przepowiedni, wreszcie powodzenie różnego rodzaju „cudownych” amuletów, broniących jakoby przed niebezpieczeństwem, i dobroczynnych panaceów, jak kasztany rozsypywane pod łóżkiem, aby „zapobiegały” dyskopatii i „leczyły” ból krzyża (Uwaga! Sceptykom „za karę” nic nie pomaga, konieczna jest wiara). Natomiast miarą szkodliwości tych zabiegów powinno stać się to, że powstrzymują nieszczęśliwców od szukania fachowej pomocy medycznej lub psychoterapeutycznej i niejednokrotnie pogłębiają stany chorobowe, a nawet przyspieszają zgon łatwowiernych lub ich bliskich, zgon, którego można było uniknąć.

Ciekawsze jest tu dla mnie inne zagadnienie: czy placebo może być czysto psychiczne. Odpowiedź zależy, rzecz jasna, od definicji wyrazu „placebo” oraz od tego, czy pewne stany chorobowe bywają wywołane czynnikami wyłącznie psychicznymi, do których nie przyłączają się czynniki innego rodzaju, np. chemiczne, oraz czy pewne choroby ustępują na skutek reakcji wyłącznie psychicznych, bez towarzyszących tym reakcjom lub wzbudzonych przez nie czynników nie-psychicznych. Ale nie miejsce tutaj na wdawanie się w tę kwestię.

Nie będąc religioznawcą ani kulturoznawcą spoglądam na religie okiem człowieka, dla którego stanowią one przedmiot rozmyślań nie opartych na fachowej wiedzy w tym zakresie, a w dodatku bardziej na uczuciach niż na wiedzy, bo jeśli na wiedzy, to ogólnej lub nawet ogólnikowej i potocznej, oraz na refleksjach i doświadczeniach większości pokolenia, które o śmierć się ocierało w młodości, a na starość, kiedy koniec własnego życia figuruje w terminarzu wśród bieżących spraw do załatwienia, także i myśli o religii uczynił osobistymi. Stopniowo nabieramy przekonania, iż człowiek jest stworzeniem w tym sensie religijnym, a religia dlatego stanowi niezmiennie ważny element jego życia, że religii lub jej substytutów potrzebuje, bo obiecują mu uniknięcie śmierci, życie wieczne, a on się tej obietnicy – czy może wyroku skazującego? – kurczowo trzyma, bo wie z powszechnego doświadczenia wszystkich istot, które zakończyły życie, że realny świat jej nie spełni: ten nikomu nie oszczędzi ostatecznej klęski. Ucieczki przed śmiercią, a właściwie przed myślami o nieuchronności śmierci, szukamy więc w sferze „nadprzynadzonności”.

Marzenie lub myślenie życzeniowe ludzie podejmują m.in. jako samoobronę przed myślami o śmierci; w ten sposób odpychają te myśli od siebie oraz łagodzą uczucia strachu i pomagają opanować właściwą wszystkim, co żyje, przemożną chęć ucieczki i szukania – jak czynią zwierzęta – kryjówek. Ta,

choć dotychczas tylekroć wypróbowana jako bezpieczna, dopóki miała osłaniać przed zagrożeniami powszednimi, okazuje się zawodna *in extremis*, gdy nadzedł moment unicestwienia nieodwracalnego, bezpowrotnego, ostatecznego. Do wyobrażeń i marzeń o nieśmiertelności w niejednym z nas przyłącza się nadzieja, że jednak uda mu się uniknąć śmierci i że po życiu doczesnym czeka go żywot wieczny w jakiejś nieuchwytniej postaci – subsystencji raczej niż realnej egzystencji. Jest to nadzieja oparta jedynie na usilnym, gorącym pragnieniu, żeby się tak stało, a więc nadzieja typu *contra spem spero*, niejednokrotnie wątpla, skoro podważa ją powszechne doświadczenie przeciwne. Ale empirii ani sceptycyzmu większość religii nie darzy sympatią. Z rezerwą traktuje się postawę Apostoła, który zamiast ślepej wierze zaufał świadectwu własnych zmysłów: przyłgnęło doń pejoratywne określenie „niewierny Tomasz”; ten archaiczny zwrot jest odpowiednikiem dzisiejszego „Tomasz-niedowiarek”.

Upatrując związek religii z myślami o umieraniu oraz o kresie życia i z uczuciami, które owe myśli wywołują, zdaję sobie sprawę, że także i ten mój pogląd nie jest odkrywczy ani odosobniony: wielu ludzi traktuje religię jako pomoc w rozpaczliwym i bezskutecznym szukaniu ratunku, ucieczki, obrony i ochrony przed śmiercią i przed wszystkim, co śmiercią zagraża, jak: nieuleczalne choroby, kataklizmy, zagłada, wielkie niebezpieczeństwa, katastrofy, wojny, ciężkie kalectwo, głód, nędza, cierpienie nie do zniesienia, zarówno moralne, jak fizyczne. Wraz z myślami o końcu własnego życia i uczuciami wyrastającymi na tym podłożu nawiedzają nas podobne: o wszelkiego rodzaju nieszczęściach zagrażających naszym najbliższym. Tym myślom i uczuciom towarzyszy dręczący niepokój oraz strach, połączone z nieziszczalnymi marzeniami i snami o nieograniczonym przedłużeniu własnego trwania, trwania w otoczeniu wszelkich bliskich nam i drogich istot oraz miejsc i momentów życia pieczołowicie przechowywanych w pamięci, o odzyskaniu na stałe, już teraz, za naszego życia: zmarłych ludzi i zwierząt, od dawna zwiędłych roślin i nieistniejących już rzeczy, jak tych wszystkich i tego wszystkiego, co choć nadal żyje, istnieje, ale dla nas jakby umarło, bo należy do naszej przeszłości.

Zapatrywania na związek między wszelką religią a strachem przed umieraniem i śmiercią potwierdza doświadczenie wyrażone w porzekadle ludowym, o którego trafności nieraz przyszło mi się przekonać: „jak trwoga, to do Boga”.

Oto przed wojną – ani na podwórzu naszego domu, ani domów odwiedzanych przeze mnie – nie było świętych figur. Odkąd pamiętam, lokatorzy nigdy się tam nie gromadzili wieczorami na wspólnych głośnych modłach i śpiewach. Natomiast wraz z początkiem okupacji zaczęły wyrastać jedna po drugiej figury, przeważnie Matki Boskiej, a po godzinie policyjnej – w Warszawie była to godzina 20.00 – wokół nich zbierało się coraz więcej mieszkańców, przedtem nie zawsze sobie znanych choćby z widzenia (przy wejściu frontowym była w naszym domu winda, więc spotkania na schodach, chyba tylko

kuchennych, należały do rzadkości). W czasie wieczornych modlitw stopniowo zadzierzała się i zacieśniała więź społeczna między lokatorami. W zwyczaj poczęły wchodzić sąsiedzkie odwiedziny przed rozejściem się do mieszkań. Podczas nich gość lub gospodarz wyciągał z buta lub zza skarpetki zwiniętą w rulonik małą karteczkę i z niej, przy świetle karbidówki i szklance sztucznej herbaty „Tonga” lub „Herbatorium”, odczytywał na głos spisane maczkiem wiadomości z nasłuchu radiowego sojusznicznych rozgłośni: angielskich, amerykańskich, francuskich. Za posiadanie lub słuchanie radia niejednen trafił do obozu i zapłacił życiem. W miarę jak rosła liczba „łapanek”, aresztowań, osób zesłanych do kacetów lub zamęczonych w więzieniach czy podczas przesłuchań i rozstrzelanych w egzekucjach ulicznych – potężniała fala powszechnej pobożności. Kościoły były pełne, nie tylko w czasie niedzielnych nabożeństw. Ludzie błagali Boga o pomoc, o ratunek.

Z kulminacją fali powszechnej pobożności zetknęliśmy się podczas Powstania Warszawskiego. Ale przedtem tak się złożyło, że w naszej szkole, Państwowym Gimnazjum i Liceum im. Stefana Batorego w Warszawie, rekolekcje wielkanocne w 1939 roku prowadził o. Józef Warszawski, S.I. Wywarł na wszystkich wielkie wrażenie. W uniesieniu, z wypiekami na twarzy, w zapamiętaniu jakby nieświadom tego, że znajduje się w naszej sali gimnastycznej, podniesionym głosem przemawiał do młodych słuchaczy natchniony ksiądz Marek z kart poezji Słowackiego, a nie jezuita z ul. Rakowieckiej, delegowany do jednej ze szkół stołecznych. Po pięciu latach ten sam o. Warszawski, już jako „ojciec Paweł”, kapelan bohaterskiego batalionu Szarych Szeregów „Zośka”, przemierzał wraz z nim szlak bojowy aż do końca, na Czerniakowie. Niejednemu z uczestników tamtych rekolekcji szkolnych teraz, na gruzach, wśród zgłiszczy, pod ostrzałem udzielał ostatnich sakramentów.

W czasach śmiertelnych niebezpieczeństw trwoga była stałym elementem życia, toteż apogeum uczuć religijnych występowało w wielu miejscach, nie tylko na ulicach i w piwnicach powstańczej Warszawy. Inni więc ludzie napotkali je gdzie indziej: jedni w partyzantce, drudzy w więzieniach czy kacetach, zawsze jednak tam, gdzie mało kto ocalał.

16 stycznia 2017 roku umarł na nieuleczalnego raka mózgu Tomasz Kalita, polityk SLD. Od wykrycia choroby przez siedem miesięcy kończył życie wśród wielkich cierpień. Wyznał, że choć trwa przy swych zapatrywaniach komunistycznych, uwierzył w Boga, czuje się pod Jego opieką, Bóg go prowadzi, obdarzył spokojem i siłami do ostatniej walki. Jej nieuniknione bliskie zakończenie, własne umieranie oraz śmierć, zdołał spożytkować – według słów Filozofa-ateisty – „na czyny zewnętrznie twórcze” dla dobra i ku pożytkowi innych chorych: do końca upominał się i zabiegał o legalizację stosowania marihuany jako leku uśmierzającego ból. Wierzący, być może, dostrzegą w tych zdarzeniach palec Boży, który grozi wykrzykującym „Komuniści i złodzieje!”.

Niewierzący zaś widząc, jak ginie to, co dobre, a nikczemność unika zagłady i trwa, powtórzą za tymże Filozofem słowa pełne goryczy i zwątpienia: „Błужnierstwem jest posądzac Boga o istnienie”. Jedni i drudzy zaś potwierdzają opinię, że „jak trwoga, to do Boga”.

3. Wyobrażenia wytwórcze

Do tak bardzo upragnionego przyszłego wieczystego istnienia nas samych wśród tych wszystkich oraz tego wszystkiego, co jest lub było nam drogie, wiedzie nas – tak myślę – nasza własna wyobraźnia. To my sami tworzymy dla siebie swą pośmiertną przyszłość, wyobrażając ją sobie z nadzieją, że nasze marzenia się spełnią, nadzieją opartą jedynie na usilnym, gorącym pragnieniu, żeby się to stało.

Przeżycia psychiczne, w których nasza wyobraźnia kreuje byty, a więc istoty żywe, przedmioty nie ożywione, zdarzenia, zjawiska itd. nazywamy „wyobrażeniami wytwórczymi”, w odróżnieniu od spostrzegawczych, czyli spostrzeżeń, i genetycznie odtwórczych, zmagazynowanych w pamięci. Byty, które nasza wyobraźnia kreuje, są w tym sensie nowe, że nie spotykaliśmy ich dotychczas, choć elementy składowe tych „nowych” bytów znajdowały się w rzeczywistości i przedtem, tyle że rozproszone lub w innych układach. Myśmy je kiedyś spostrzegali i przechowujemy w pamięci. Następnie zaś nasza wyobraźnia buduje z nich całości w nowym układzie, które stają się orężem do obrony, nie tyle przed niebytem, ile w istocie przed myślami o nim i uczuciami strachu oraz chęcią ucieczki.

Mądrość lub intuicja autorów niejednej religii i wierzeń parareligijnych, ich znajomość mentalności ludzkiej, odpowiedziała im, że ludzkość, w swych początkach żyjąca w mrokach jaskiń, odwraca wzrok od oślepiającego blasku słońca, tęskni za obrazami zagadkowymi, o zamazanych konturach, majaczącymi w ciemności, która wyobraźni pozwala zapełnić pustkę zwidami własnej imaginacji. Może zatem tego, co nadprzyrodzone, więc tajemnicze i zatopione w mroku, jesteśmy intuicyjnie spragnieni jako powrotu do bytowania ludzkości w owym pradawnym okresie, kiedy przez wiele tysięcy żyła w stadach, każde posłuszne najsilniejszemu, a człowiek opuszczał swe schronienie z rzadka, mężczyzna dla zdobycia pożywienia, kobiety zaś niemal nigdy. Wyprawa więc do tajemniczej strefy „nadprzyrodzoności” jest dla nas ponętna, niby odwiedziny „kraju lat dziecińczych”, w zaraniu istnienia człowieka. Wierzenia w życie po śmierci zapowiadają ludziom cudowny powrót do warunków z czasów pierwocin rodzaju ludzkiego. Ślady tamtego świtu życia zachowały się być może jako jedna z atawistycznych cech psychiki naszego gatunku, czegoś w rodzaju „pamięci filogenetycznej”, i ta je dzisiaj przekazuje jako niejasne

wspomnienia z odległej przeszłości, niby z własnego dzieciństwa, okresu, który na ogół darzymy sentymentem jako szczęśliwy. *Homo sapiens*, *animal rationale*, moim zaś zdaniem – *animal* bardziej *irrationalis et emotionalis* niż *rationalis*, chętnie oddaje się wspomnieniom, wśród starców zaś nie trudno spotkać chwalcę „dawnych dobrych czasów”, dobrych, bo do nich przywykł, a to, co znane, pociąga, wtedy czuje się swojsko, bezpiecznie jak w domu.

Być może to właśnie nasza wspomniana odwieczna skłonność do zaludniania mroku tworcami własnej fantazji, odziedziczona po praprzodkach, żywe źródło religii, mitów, legend i literatury pięknej, sprawia, że ludzie wolą wierzyć, iż z „krzaka gorejącego” na górze Horeb przemówił Bóg, niż tłumaczyć sobie prozaicznie, że w palących promieniach słońca nastąpił samozapłon olejków eterycznych rośliny wysuszonej na pustyni. Czyniąc zadość potrzebom swej wyobraźni wierni nie tylko godzą koncepcję monoteistyczną z przekonaniem, że *omne trinum perfectum*, ale zarazem – rozpędem swej pogańskiej przeszłości – otaczają kultem święte rzeki, uzdrawiające źródła, życiodajne groty i skały, modlą się i pielgrzymują do licznych cudownych wizerunków i relikwii oraz do świętych lub aniołów-stróżów, jak dawniej do bogów i bożków. Symbol, opłatek i łyk wina, religia traktuje jako to, co symbolizowane: ciało i krew Pana Jezusa, a kolosalne wymiary posągu bóstwa poczytuje za wielkość i potęgę jego osoby (Budda w Leshan, Chrystus w Rio de Janeiro). Najwyższym zaś w hierarchii sługom bożym przydaje wzrostu ich postaci przystrajając je w wysokie infuły lub tiarę.

Powrót w myślach, wspomnieniach i wyobraźni do przeszłości, zarówno osobistej, jak do początków rodzaju ludzkiego, jest to perspektywa niewątpliwie ponętna. Z jednym może wyjątkiem: owo życie pośmiertne ma być wieczne. Wiele religii obiecuje wierzącym, że po śmierci czeka ich żywot wieczny, nieporównanie ważniejszy od doczesnego, ale przecież nam nie znany, dla nas tajemniczy. Wszak istoty żywe są obeznane z takim tylko życiem, które ma swój kres, a nie z życiem wiecznym. Każdy z doświadczenia wie, co to jest bycie żywym, gdyż co dzień doświadcza tego stanu, tylko tego jedyne, jest z nim obeznany, oswojony, uważa go za tak naturalny, że nie wart zastanowienia. Wieczność zaś jest przerażająca, gdyż nas, przywykłych do tego, że wszystko kiedyś się kończy, do tego, że *finis coronat opus*, stawia w obliczu czegoś nie tylko nieznanego, ale i niepojętego. Jak podołamy trwaniu, choćby i najszcześniejszemu, ale bez przerw, w których po okresie aktywności następuje jej koniec i nadchodzi czas na odpoczynek przed kolejną fazą działania, trwaniu bez granic, trwaniu, które nie ma końca?

To, co nieznane, często budzi nieufność, a nawet lęk, reakcje neofobiczne lub ksenofobiczne. Jak to będzie, kiedy przestaniemy żyć, nikt nie wie, bo nikt tego nie zaznał. Nikt nie wie, na czym to polega, co się wtedy z człowiekiem dzieje, co on wtedy „robi”, kiedy nie żyje. Dlatego ludzie boją się bycia

nieżywym. Boją się nie tylko dla siebie, ale i dla bliskich i drogich, którzy umarli. Przypisują więc ich szczątkom zachowania i działania żywych: zmarli „wiedzą”, co myślimy, czujemy i robimy, „opiekują się” nami, „pomagają” nam, my ich odwiedzamy na cmentarzach lub w wyobraźni, żeby „porozmawiać”, żeby się „zobaczyć”, „zapytać” o zdrowie, jak się czują, jak znoszą upał albo mróz, zapalamy świeczki i znicze (im większe, droższe i mniej gustowne, tym większy nasz żal, ten na pokaz, i manifestowane przywiązanie), żeby im w trumnie lub urnie nie było ciemno (notabene obyczaj ten, który powstał w upalnym klimacie, miał zapewne cel praktyczny: zapalona lampka oliwna, teraz zaś świeca w dłoni osoby zmarłej, jak również okadzanie zwłok, przepędzały rój natrętnych owadów), zanosimy im kwiaty na imieniny i urodziny oraz w rocznicę śmierci, a także jedzenie i napoje, żeby ci, co spoczywają w tym „naszym” miejscu, nie byli głodni, razem z nimi świętujemy przy ich grobach podczas obchodów Dziadów czy Halloween, krzepimy się marzeniem, niektórzy zaś złudną wiarą i nadzieją, że gdy to my przekroczymy granicę między życiem a śmiercią, pospieszymy do naszych bliskich na „tamtym świecie” na radosne spotkanie po długim rozstaniu i wspólne odąd przebywanie na zawsze.

Twórcy tych religii, które obiecują wiernym żywot wieczny, jak i ci, którzy tym obietnicom zawierają, wszyscy oni popełniają – tak sędzę – błąd logiczny, bardzo pospolity i elementarny, zwany ekwiwokacją. Oto słowo „żywot”, odczuwane jako archaizm o zabarwieniu podniosłym, po dodaniu doń przydawki „wieczny” zmienia obiegowe znaczenie słowa „życie”. Analogicznej zmianie ulega znaczenie np. słowa „król”, po dodaniu przydawki „treflowy”. Król treflowy nie jest władcą koronowanym ani kimś najlepszym w jakiejś dziedzinie, ani potentatem takiej a takiej produkcji; jest figurą w kartach do gry. Życie wieczne nie jest tym, czego doświadcza każda istota żywa: jest czymś nieznanym, niezrozumiałym i tajemniczym. Tymczasem ludzie wiążą ze zwrotem „życie wieczne” czy „żywot wieczny” podobne skojarzenia jak ze słowami „życie”, „żyć”, „żywy”: życie wieczne traktują jako zwykłe życie, tylko bardzo, bardzo długie, niewyobrażalnie długie, dla jednych błogosławione i szczęśliwe, dla drugich – w mękach i potępieniu, dla trzecich w oczekiwaniu na sprawiedliwy wyrok. Jedni dopuszczają do tej ekwiwokacji nieświadomie, drudzy tej modyfikacji znaczenia dokonują świadomie, a nawet umyślnie, na własne życzenie, bo jej pragną, a pragną dlatego, że takie *wishful thinking*, czyli życzenie sobie czegoś w myślach, jest ich psychice potrzebne.

Nawiasem mówiąc, gdyby zwrot „żywot wieczny” miał znaczenie dosłowne, jako życie bez początku i bez końca, a nie jako przenośnia augmentatywna, i śmierć przestałaby spełniać swoje zadanie regulacyjne przeciwdziałając przegrzaniu systemu, a w konsekwencji jego zatłakaniu na skutek niepowstrzymanego przyrostu istot na stałe żywych, bardzo szybko nastąpiłby wybuch bomby

demograficznej i nieuchronny kataklizm: zagłada naszej rodzimej planety. Odwieczne marzenia ludzkości o pokonaniu śmierci są w istocie marzeniami o samozagładzie. Mimo to instynktownie a nierozważnie, lekkomyślnie i egoistycznie, dążymy do ostatecznego zwycięstwa nad śmiercią i nieograniczonego przedłużenia trwania istot żywych – przynajmniej trwania własnego oraz naszych bliskich: ludzi i zwierząt.

Dla samoobrony przed własnym i obrony naszych bliskich niebytem, a raczej przed myślami o własnym i naszych bliskich nieistnieniu, chwytamy się różnych sposobów, nasza ludzka wyobraźnia podejmuje rozmaite działania. Przede wszystkim powołuje do istnienia potężnych sojuszników i obrońców, którzy mają nas ocalić. Może tę władzę psychiczną mają też niektóre inne gatunki zwierzęce, tyle że w swych marzeniach i snach chyba przyzywają na pomoc nie bóstwo, lecz samca najsilniejszego w stadzie, który słabszym osobnikom pozostawi niedojedzone resztki. Na pewno zaś, tak jak my, ulgę przed lękiem i uwolnienie na pewien czas od napięcia niektóre istoty żywe znajdują we śnie. Wyobraźnia ludzka zaś w religiach, jak również w wierzeniach nie będących w ścisłym sensie religiami, powołuje do istnienia i działania potężnych protektorów i opiekunów, którym przypisuje moc obdarzania istot zmarłych żywotem wiecznym, na miejsce utraconego przez nie życia doczesnego. Ten żywot wieczny, obiecany swym wyznawcom przez niejedną religię, ma polegać na pogrążeniu w śnie wiecznym i odpoczywaniu bez końca. Modlimy się o to słowami „wieczne odpoczywanie racz jej (mu) dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej (mu) świeci na wieki wieków”, niepomni, że przymusowa beczynność w jasności bez końca, gdyby „beczynność” i „jasność” miały swe zwykłe znaczenie, byłby to wyrok na zamknięcie w celi, dzień i noc zalanej światłem, przed którym nie można się schronić, nie dobrodziejstwo więc, lecz tortura, w świetle realnym mająca skazanych zmusić do zeznań. Zapewne zatem autorzy tych słów uciekli się do metafor: „światłością wiekuistą” jest Bóg, a „sen wieczny”, to stan braku świadomości, niebyt, który po śmierci czeka każdą istotę żywą. Nam, żywym, przedsmak tego stanu daje narkoza lub śpiączka farmakologiczna, sztucznie wywoływana w celach terapeutycznych. Może zatem ową przenośnię, „sen wieczny”, ludziom uznojonym codzienną ciężką pracą fizyczną, podsunęło jako przedmiot ich własnych wyobrażeń wytwórczych, kreacja *wishful thinking*, ich stałe marzenie, żeby się porządnie wyspać. Dlatego upragniony wydaje im się także ów sen wieczny, czekający ich po życiu doczesnym.

Oprócz religijnych i quasi-religijnych wierzeń w „nadprzyrodzoność”, także poezja w marzeniach życzeniowych, które snuje, ofiaruje człowiekowi wizję jego nieśmiertelności, azyl, w którym może on schronić się przed lękiem, uciec przed strachem i odpocząć. A filozofia doradza m.in., w jaki sposób mamy się pogodzić z nieuchronnością śmierci.

4. Kulturowa geneza, determinacja i zróżnicowanie wierzeń

Ludzie, jako przedstawiciele tego samego gatunku, o podobnej zatem konstrukcji psychofizycznej i poddani podobnym bodźcom w warunkach życia na tej samej planecie, doświadczają uczuć podobnych w pewnym zakresie i pod pewnymi względami, mają podobne potrzeby i oczekiwania, kreują w swej wyobraźni podobne postaci i zdarzenia, aby tym potrzebom i oczekiwaniom nadać kształt konkretny, oraz wzniecają w sobie podobne nadzieje na spełnienie tych potrzeb i oczekiwań.

Podmiotem uczuć uświadomionego lęku przed umieraniem i śmiercią jest człowiek. Podmiotem wyobrażeń, które za swój przedmiot mają życie wieczne i świat nadprzyrodzony, a za swe zadanie – złagodzić, uciszyć i opanować naturalny lęk przed zgonem, jest człowiek. Podmiotem pojęć, których przedmiotem jest bóstwo, a treścią najwyższa doskonałość tego przedmiotu, jest człowiek. Gdy przedstawiciele tego samego gatunku są podmiotami przeżyć lub sprawcami aktów mających wspólny cel, którzy sięgają po podobne środki, żeby go osiągnąć, nie powinno zaskakiwać, że zarówno ich czynności, jak tych czynności-wysiłków wytwory okażą się w pewnym zakresie i pod pewnymi względami podobne. Podobieństwo to przejawia się moim zdaniem m.in. w tym, że nam wszystkim instynkt samozachowawczy każe trzymać się życia, bać się śmierci i dążyć do jej uniknięcia. Ponieważ zaś sami nie zdołamy odnieść nad nią zwycięstwa, nasza imaginacja powołuje do istnienia potężne siły sojusznice, które nas wyręczą w tym dziele i zapewnią nam żywot wieczny w świecie nadprzyrodzonym.

Strukturę tego świata nadprzyrodzonego wyobrażamy sobie jako radykalnie zhierarchizowaną, bo doświadczenia historyczne, wzorzec, do którego odwołuje się nasza pamięć i wyobraźnia, podpowiadają, że ustrój monarchii absolutnej lub dyktatury, a w jednym i drugiej najłatwiej się krzewi kult jednostki nadrzędnej, dają nam nadzieję na władzę dość potężną, by spełniła nasze pragnienia, oczekiwania i marzenia: by uchroniła nas od śmierci. W wyobraźni powierzamy się więc pod opiekę i obronę takiej władzy. Zarazem jednak bardzo niewiele potrafimy o niej powiedzieć, a tę naszą niemożność staramy się usprawiedliwić ograniczonością umysłu ludzkiego – z woli stwórcy, zatem tejże władzy – i nakazem władcy, byśmy nie ważyli się dociekać tajemnic, jemu tylko dostępnych. Nawet najwięksi filozofowie i teologowie okazują skrępowanie zadaniem, które przed nimi stoi: musi ono się powieść, musi się im udać przedstawienie najwyższej doskonałości bóstwa. Do tego zobowiązuje ich apodyktyczny i bezdyskusyjny nacisk kulturowy: bóstwo *ex definitione* ma być kimś czy czymś niewysłownie wszechmocnym i najdoskonalszym, bo w przeciwnym razie przestanie gwarantować skuteczność swej absolut-

nej władzy i opieki nad wszechświatem, autorowi zaś takiej jego koncepcji, nie w pełni doskonałej, grozić będzie posądzenie o herezję lub bluźnierstwo i zarówno wieczne potępienie za te grzechy, jak infamia oraz kara doczesna, aż do spalenia na stosie. Skrępowani tak wysokimi oczekiwaniami i wymaganiami oraz obezwładnieni lękiem, iż nie zdołają im sprostać – nawet ci najwięksi okazują bezradność i zagubieni w niejasnościach, ogólnikach, zagadkowych metaforach i sprzecznościach, muszą się uciekać do usprawiedliwień, że to, co nieskończone, ograniczyć się nie da, a to, co bezkresne – określić ani wyrazić. Może dlatego spośród artystycznych reprezentacji świata nadprzyrodzonego konwencjonalne i sielankowe obrazy i opisy nieba i rajy mniej poruszają wyobraźnię odbiorcy aniżeli przedstawienia mąk piekielnych, męczeństwa i zagłady. Twórcy tych obrazów i opisów znają grozę zarazy, wojen, tortur, głodu i śmierci, a nigdy nie doświadczyli bytowania w niebie. Toteż opisy piekła, sądu ostatecznego oraz męczeństwa i jego przedstawienia wykonane pędzlem artysty są o wiele bardziej wyraziste i przejmujące niż opisy i wizjerunki nieba oraz rajy, na ogół mdłe, monotonne i niezbyt atrakcyjne. Wystarczy porównać jedne i drugie stworzone przez Dantego, Giotta, Hieronima Boscha, Albrechta Dürera, Hansa Memlinga czy Johna Milтона.

Wszystkie wierzenia w tym są do siebie podobne, że świat nadprzyrodzony, a w nim Boga, bóstwa i ich pomocników, kształtują na modłę jedynych realiów, które znamy z doświadczenia. Religie świat nadprzyrodzony budują według jedynego dostępnego im wzorca rzeczywistości, a zatem według rzeczywistości empirycznej, na modłę więc świata fizycznego, a żywot wieczny – na wzór życia doczesnego. Innego życia ludzie nie znają, bo go nie doświadczyli. Jeśli życie doczesne było pobożne, to w nagrodę wieczne będzie szczęśliwe, a pojęcie o szczęściu oraz o rajy ludzie tworzą według swych własnych bardzo różnych wyobrażeń o udanym życiu, sytym i dostatnim, jak w Tadeusza Chyły *Balladzie o Cysorzu*, co ma „klawe” życie: codziennie na śniadanie podają mu jajecznicę z kielbasą. Wizje rajy różnią się od siebie: zależnie od ludu, który formował swoje wierzenia, od potrzeb jego wyobraźni, od miejsca i czasu powstawania poszczególnych religii i od wzorców, m.in. obyczajowych, społecznych, politycznych i ekonomicznych, dostępnych twórcom koncepcji i konstrukcji metafizycznych. Ludzie muszą sami sobie zbudować swoje raje. Czynią to na miarę własnych potrzeb, siłami własnej woli i z zasobów własnej wyobraźni, a ta żywi się otaczającymi ich realiami. W rajskim ogrodzie cień rzucają ziemskie drzewa i ziemskie drzewa rodzą „prawdziwe” owoce; smaku innych nie znamy. Rajskie hurysy kuszą ziemskimi ciałami; nie wiadomo, czy autentyczne rajskie powaby, przecież nam, mieszkańcom ziemi, nie znane, wzbudziłyby tak wielkie pożądanie walczących za wiarę, by ci oddawali młode życie. Budulcem świata fikcji są przedmioty przeniesione z rzeczywistości empirycznej, teraźniejszej lub przeszłej, zapamiętanej lub przekazanej nam przez tradycję, poddane tajemniczej metamorfozie.

Zróznicowane warunki życia ludzkiego w ciągu długich tysiącleci bytowania na niejednakowych obszarach sprawiły, że nasze koncepcje „nadprzyrodzoności” różnią się między sobą pod niejednym względem. Oto kilka przykładów.

Religie i mitologie niejednakowo rozwiązały kwestię specjalizacji bóstwa jako orędownika poszczególnych spraw. Jedne wierzenia obrały monoteizm, inne politeizm, jeszcze inne panteizm.

Każdy z bogów olimpijskich miał określony przydział kompetencji. Natomiast Bóg chrześcijan został wyposażony w trojakię gestie: inne jako Bóg Ojciec, inne jako Syn Boży, jeszcze inne jako Duch Święty. Twórcy tej koncepcji nie cofnęli się przed sprzecznością: jeden, a w trzech osobach, nie zaś jedna osoba dzierżąca trojaką władzę czy opiekunka i zarządczyni trzech dziedzin. Sprzeczność ta na dłuższą metę zagraża, jak postaram się pokazać, niepożądaną konsekwencją, mianowicie przerwami w istnieniu Boga. Natomiast udana pod względem dydaktycznym jest koncepcja Trójcy Św. jako złożonej z konkretnych osób, które łatwo sobie wyobrazić, a nie z elementów psychicznych ani abstrakcyjnych rodzajów władzy i orędownictwa, co trudniej pojąć. Uczyniono mądrze dostosowując rozwiązanie do możliwości intelektualnych prostego wyznawcy tamtego czasu. A przy tym uzyskano efekt wychowawczy: lud boży ma posłusznie zaakceptować nawet sprzeczność – zarazem w trójcy i jedyny – a ślepa wiara tego ludu winna ową sprzeczność przyjąć bez protestu, oporu i szemrania; taka właśnie wiara, ślepa, jest najwięcej warta. Ludzie powinni też sami sobie poradzić z pogodzeniem dwóch faktów: że wprawdzie zostali stworzeni „na obraz i podobieństwo” Boga, mimo to jednak zachodzi między bóstwem a nimi zasadnicza różnica metafizyczna, jak choćby ta, że nie są ani wszechmocni, ani nieśmiertelni. Powinni też sobie poradzić z językiem tekstów religijnych, zarówno z językiem etnicznym oryginałów, jak z enigmatycznym i metaforycznym ich późniejszych wersji. Ilekroć więc człowiek staje bezradny wobec nieznanego dłań języka tekstów religii, np. obecnie łaciny czy starocerkiewno-słowiańskiego lub hebrajskiego, a w każdym z nich także wobec metaforycznych wyjaśnień, które ma obowiązek przyjąć bez zastrzeżeń, twórcy tej koncepcji zbywają go stwierdzeniem: to tajemnica i ograniczony umysł ludzki niech nie waży się jej rozwiązać.

Myślę, iż prestiż niejednej religii zyskiwał na tym, że jej teksty liturgiczne były lub są niezrozumiałe dla niektórych wiernych, dziś zapewne dla większości. Moim zdaniem soborowa zmiana języka liturgii z łaciny na *lingua vernacularis* pozbawiła religię rzymsko-katolicką nimbu tajemniczości i niezrozumiałości, które budzą respekt, gdyż dla wielu to, czego nie potrafią pojąć, tym samym musi być bardzo mądre i głębokie – lub groźne, jak np. żywność GMO lub elektrownia atomowa; gdy pojawiły się pierwsze samochody, wieszczono, że krowy ze strachu przestaną dawać mleko, ludzi zaś ostrzegał herold biegnący przed pojazdem, co – rzecz nie do wiary – sam się

porusza. Jest w języku rosyjskim zwrot pełen pokory i uległości, stosowany w carskiej Rosji przez człowieka niskiego „czynu”, gdy nie potrafił odpowiedzieć na pytanie zadane przez kogoś wysokiego czynu: „nie śmiem tego wiedzieć, wasza wielmożność”; nie „nie wiem”, lecz „nie śmiem wiedzieć”.

Powróćmy do wyliczania różnic między koncepcjami w różnych religiach. Na Bliskim Wschodzie ludy pragnęły w bóstwie znaleźć opiekuna godnego zaufania, troskliwego ojca, potężnego obrońcę i sprawiedliwego, lecz surowego sędziego; monarchę absolutnego, sułtana dobrego i łaskawego, ale zarazem wymagającego wyłączności, oddania i bezgranicznego posłuszeństwa. Wyobraźnia ludzi opisujących Boga wkłada w Jego usta słowa „Jam jest Pan Bóg Twój ... nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”. Przedstawia go jako władcę, który dla przyuczenia poddanych do bezwzględного posłuchu bywa okrutny: własnego syna, a więc zarazem i siebie samego, skoro jest w Trójcy Św. Jedyny, skazuje dla przykładu na męczeńską śmierć, pokonaną następnie zmartwychwstaniem, nie gardzi ofiarą z syna jednego ze swych sług i wyznawców, oczekuje i przyjmuje od nich należne mu daniny i ofiary, także krwawe: choć i jego, i niektóre inne bóstwa, wierni wyobrażają sobie jako uosobienie dobroci, miłości, łagodności, współczucia, miłosierdzia i wrażliwości na każde cierpienie, składają im w ofierze zwierzęta zabite w męczarniach na cześć obdarowanych. Zwierzęta bowiem wedle niektórych wierzeń zostały ustanowione istotami niższymi, podległymi człowiekowi, pozbawionymi duszy nieśmiertelnej, i stworzone po to, by służyły ludziom, tak jak oni winni służyć swemu panu, władcy i właścicielowi, kochać go, ale zarazem się go bać. Widocznie składający ofiary są przekonani, że taki właśnie, krwawy, dar okrucieństwa sprawi bóstwu przyjemność nie mniejszą niż ta, jaką najbardziej nawet pobożnym i najgorliwszym jednostkom spośród ludu bożego do dziś sprawia bestialskie znęcanie się nad zwierzętami, jak również polowania dla sportu, a więc dla rozrywki, zakończone śmiercią uprzednio dokarmianych bezbronnych ofiar.

Dla wyznawców, a zarazem poddanych, istota boska jest – zgodnie z mizoginizmem w czasach narodzin religii, porządkiem społecznym i ustrojem monarchii absolutnej – Panem Bogiem; Pani Bóg, czy raczej bogini, byłaby dla ówczesnych wiernych, tj. wierzących weń płci męskiej, nie do pomyślenia, gdyż według nich kobietę uczynił istotą niższą od mężczyzny, stworzył ją bez jego wiedzy, z fragmentu jego ciała pogrążonego we śnie i obciążył – według przekazu autorów relacji – winą za grzech pierwotny o charakterze seksualnym, wprawdzie popełniony przez oboje pierwszych rodziców, ale z inicjatywy i nagabywań ciekawej niewiasty, która uległa namowom i pokusie węża-szatanu o postaci przywodzącej na myśl penis. Matkę własnego syna uczynił na zawsze dziewicą, aby ten został niepokalanie, bez zmyty, poczęty. Tą decyzją przekazał swym wyznawcom, że stosunek seksualny, który sam uczynił

niezbędnym elementem rozmnażania, zalecanego jako obowiązek małżeński i pożądanego jako rozkosz, jest czymś wstrętnym: tak brudzi jak kał. Według niektórych wierzeń kobietom Pan Bóg, karząc je za uprawianie (z Jego wszak własnej woli) miłości fizycznej, nie pozwolił na wspólne z mężczyznami modły w świątyniach sobie poświęconych i wydzielił dla nich gorsze miejsca, np. na obrzeżach meczetu. Mężczyzn, będących przecież uczestnikami współżycia płciowego, ta sama relacja o woli bożej nie dyskryminuje za ten sam czyn ani nie karze. Było to odzwierciedlenie panujących w owych czasach i miejscach poglądów na ascezę, „czystość” i celibat (*Legenda o św. Aleksym*). Obowiązuje on do dziś duchownych w niektórych religiach, mimo że potępienie i zakaz „dopuszczania się” aktu płciowego, naturalnego wszak pod względem fizjologicznym i tak jak jedzenie oraz wydalanie, normalnej czynności organizmu przewidzianej przez Stwórcę, przyczynia się do wielu cierpień, wypaczeń, nieszczęść, a nawet zbrodni. Wyobraźnia ludzka wyposaża bóstwo, zwane w różnych językach *le bon Dieu*, „dobrym Bogiem” lub *the good Lord*, „dobrym Panem”, w cechy sadystyczne: przyjemność lub przynajmniej satysfakcję mają Mu sprawiać takie praktyki jego wyznawców, jak: posty, samobiczowanie się, umartwienia, noszenie włosiennic wywołujących zapalenia skóry, abstynencja seksualna, żywot pustelniczy, spanie w trumnie (*memento mori*) – wszystko to wierni ofiarują Bogu w darze. Ludziom widocznie łatwiej jest wyobrazić Go sobie jako istotę, która czerpie radość i poczucie własnej mocy z ich niedoli i wyrzeczeń, aniżeli jako kogoś, kto wraz z nimi raduje się ich szczęściem, co w mniemaniu człowieka ujmowałoby Bogu część Jego potęgi. Zarazem ta sama wyobraźnia ludzka otwiera szerokie pole przed kuszeniem szatańskim: profity gwarantowane natychmiast, a nie dopiero po śmierci; do tego bardziej konkretne niż udział w chórze aniołów sławiących Pana. Podpisz cyrograf na wierność i posłuszeństwo, a my już o ciebie zadbamy; nie obawiaj się: na nasze konwentykle wozimy z sobą dyżurnego egzorcystę.

Religie były przeważnie dziełem mężczyzn, więc stały na straży ich interesów. Solidarność bóstwa płci męskiej z mężczyznami wyraża się tu i ówdzie nakazem religijnym obrzezania dziewcząt. Okaleczeniem pozbawione części doznać satysfakcji seksualnej, większą pewność wyłącznego posiadania dają swym szowinistycznym mężom-właścicielom, a zarazem panom i władcom. W jednym z przykazań – według pierwotnego sformułowania – żona została zrównana z resztą inwentarza, nie tylko żywego, wołem, osłem, ale i martwych nieruchomości; pożądanie ich, wyciąganie ręki po którykolwiek składnik tego dobytku, zostało napiętnowane jako grzech słowami: „nie będziesz pożądał żony bliźniego swego, ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest”.

W odróżnieniu od Bliskiego Wschodu na Dalekim Wschodzie płęć bóstwa jest nieokreślona. Rzeźby i wizerunki Buddy, wszak wykonane ręką człowieka, przedstawiają – nie wiadomo: oblicze tęgiej kobiety czy pozbawioną śladów

zarostu twarz otyłego mężczyzny. Jest w Kioto wspaniałe muzeum, a w nim wielka sala, w której jeden przy drugim stoją krocie starych posągów Buddy jednakowego kształtu i wielkości, ale każdy z nich ma inny wyraz twarzy, mistrzowsko wyrzeźbiony: radość, zaduma, gniew, rozmarzenie, szyderstwo, ironia, rozbawienie, błogość, rozpacz, przestrah, cierpienie, smutek, zmęczenie, mściwość. Buddzie mają być znane z własnego doświadczenia wszelkie stany ducha ludzkiego i wszelkie doznania innych istot żywych, aby każde uczucie, każde pragnienie ludzkie i nie tylko ludzkie zrozumiał, każdego człowieka, każde stworzenie, każdą roślinę – wszystko, co żyje – mógł i chciał przyswajać.

Każda religia, szerzej, każda ideologia, każdy system wierzeń formułuje normy postępowania obowiązujące wyznawców. Obok nakazów i zakazów kontrowersyjnych, niesprawiedliwych, okrutnych i szkodliwych występują mądre i pożyteczne. Np. do dziś tradycja, m.in. we Włoszech, każe kobiecie okrywać włosy przed wejściem do kościoła i w ten sposób – to relikt zacofania – utrudnić szatanowi, widocznie bardzo nieudolnemu, opuszczenie tej dogodnej kryjówki i wędrówkę po świecie. W istocie zaś jest to nakaz sanitarny, w niektórych religiach obejmujący także mężczyzn, pożyteczny w klimacie, który sprzyja rozmnożeniu insektów i przenoszeniu ich w ciżbie z jednego żywiciela na drugiego; ponadto chodzenie z odkrytą głową grozi porażeniem słonecznym, a przykrywanie jej chroni przed tym niebezpieczeństwem. Z podobnych powodów, w tym wypadku dezynfekcyjnych, niejedna religia wymaga od kobiet golenia włosów na łonie, a z profilaktycznych i higienicznych nakazuje obrzezać niemowlęta płci męskiej, co zmniejsza ryzyko wywołania się raka członka. Osobom obu płci nie wolno dotykać pożywienia tą dłonią, która służy do podmywania się po defekacji, zastępującego w niejednym kraju arabskim stosowanie papieru toaletowego. Także do dziś obowiązuje nakaz „spragnionego napoić”: każdy, kto wejdzie do najbardziej nawet ekskluzywnej kawiarni lub restauracji we Włoszech i poprosi o wodę, zostanie bezpłatnie, acz gdzieniegdzie niechętnie, obsłużony.

Wszelka kultura religiję, jako związaną z nadprzyrodzoną obietnicą i gwarancją zwycięstwa nad śmiercią, uczyniła niezmiernie ważnym elementem życia ludzkiego. Twórcza działalność psychiczna, siła sprawcza i źródło mitów i religii, jest bardzo dla wierzących cenna, nie tylko dlatego, że obdarza ich nadzieją na przedłużenie własnego istnienia po wieczne czasy. Ponadto jest cenna dla ogółu, bo jej utwory i wytwory są bodźcem do powstania uniesień, z których rodzą się inne, wśród nich wspaniałe, plony myśli, uczuć, wyobraźni i talentu ludzkiego: systemy etyczne, ideologie, instytucje, dzieła sztuki, budowle, arcydzieła poezji, muzyki i architektury, pouczenia, nakazy i zakazy sanitarne, zalecenia zdrowotne. Te skarby kultury są darem od wierzących dla reszty ludzkości.

Krwawe ofiary składane bóstwu oraz innym postaciom otaczanym kultem religijnym, posty i „suszenie” oraz inne umartwienia na ich cześć, samobiczowanie, pielgrzymki do świętych miejsc, relikwii i cudownych przedmiotów – są z jednej strony przejawami tego, jak człowiek wyobraża sobie, co bóstwu może sprawić satysfakcję, z drugiej zaś strony służą ludziom jako środki ich komunikacji z siłami wyższymi. Spośród tych środków przekazu najważniejszym jest modlitwa. Modlitwy, z wyjątkiem tych, których gotowy tekst wierni powtarzają szeptem lub w myśli, często mechanicznie i nie wnikając w treść wypowiedzianych słów, chyba przeważnie mają charakter solilokwiów (w sensie, który starałem się opisać w *Dwóch pojęciach komunikacji*, „Studia Semiotyczne”, t. XXVIII–XXIX, (2015), s. 114–115), a więc rozmowy z samym sobą, a nie – jak głosi określenie, często powtarzane, „rozmowy z Bogiem”. Wydaje mi się, że w modlitwach własnego pomysłu ludzie najczęściej zanoszą prośby do bóstwa albo do świętego, podziękowania za doznane łaski lub dary, wreszcie słowa uwielbienia i zapewnienia o własnej wierności, posłuszeństwie i pokornym poddaniu się woli bożej, mające zjednać przychyłność i hojność Istoty Najwyższej i Najpotężniejszej, gdy w przyszłości będzie rozdawała kolejne dobrodziejstwa, a jej łaskawość i wyrozumiałość, gdy będzie rozważała wymiar kary za grzechy i nieprawości, których się dopuścili jej słudzy. Podobnemu celowi służą ofiary składane bogom. Niekonsekwencja wyznawców przejawia się w doborze niektórych ofiar i wotów. W religii, która głosi, że ubodzy (w duchu, tzn. także z przekonania, nie tylko w rzeczywistości, w praktyce, z wyroku losu) są błogosławieni i że wejdą do królestwa niebieskiego, obwiesza się wizerunki Boga i świętych kosztownościami mającymi wyrazić wdzięczność i oddanie ofiarodawców. Ci zapewne wyobrażają sobie naiwnie, że Bogu mimo wszystko się spodoba i skłoni Go do rewanzu, bo ubóstwo ubóstwem, ale któżby nie lubił i nie pragnął złota i szlachetnych kamieni; poza tym, skoro nawet drobne upominki umacniają przychyłność obdarowanych, to cóż dopiero nie takie znów drobne. Ludzie bowiem obdarzają bogów swoimi ludzkimi cechami psychicznymi, swoją ludzką mentalnością. Te znają z doświadczenia: sami tak przeżywają, myślą, czują, pragną, pożądają. Co najwyżej przypisują bóstwom zalety maksymalnie spotęgowane, najwyższą doskonałość. Ale nie tylko zalety: przypisują także wady, jeśli wady te mają świadczyć o mocy bóstwa ponad wszelką miarę, takiej, by budziła grozę i wymuszała bezwzględny posłuch. W wierzeniach, które bóstwu przypisują rolę stwórcy wszystkiego, w tym człowieka, i które głoszą, że ów stwórca „ulepił” ludzi „na swój obraz i podobieństwo”, wyznawcy, kierując się tym, że relacja podobieństwa jest symetryczna, wnioskuje, iż ten stwórca ma postać ludzką, jest nadczłowiekiem. Ale nawet te religie i mity, w których bóstwa zostały wyobrażone jako organizmy żywe, o nadludzkiej psychice, jednak różne od człowieka, lub jako zdarzenia, zjawiska bądź siły przyrody

ożywionej, bóstwom tym przypisuje się psychikę ludzką lub nadludzką, bo doskonalszą. Także elementy przyrody nieożywionej, gdy człowiek zaczyna otaczać je czcąc jako przedmioty kultu o charakterze religijnym, np. „święte” rzeki, źródła, góry, skały, stają się obiektem antropomorfizacji i zostają obdarzone psychiką ludzi bądź nadludzi. Powód jest – jak myślę – ciągle taki sam: są kreacjami wyobraźni ludzkiej, która nie potrafi przekroczyć samej siebie, i mają uczynić zadość głównej potrzebie każdej istoty żywej: uchronić ją przed unicestwieniem.

Religie obiecują nam nie tylko przedłużenie bytowania w warunkach poznanych przez ludzkość w epoce jej dzieciństwa. Ponadto wszelkim istotom żywym, tak jak kolejno w czasach niewolnictwa, poddaństwa, monarchii absolutnych, dyktatur, zapewniają opiekę, przewodnictwo i kierownictwo sprawowane przez wszechmocny autorytet nieomylnego władcy, najsprawiedliwszego sędziego, najtroskliwszego ojca, najmądrzejszego nauczyciela. Religie, jeśli nie zwalniają od decydowania o samym sobie oraz od odpowiadania za samego siebie, to wydatnie zmniejszają ciężar jednego i drugiego, gdyż mówią nam, że to kto inny kieruje naszymi krokami i postanawia o każdej sekundzie naszego życia, zawieszonego w zagadkowej strefie granicznej, a może eksterytorialnej, między wolną wolą stworzeń a zdeterminowaniem przez wolę stwórcy. W skali nie-metafizycznej perspektywa analogicznych profitów psychicznych bywa niekiedy jednym z motywów – nieraz ukrywanym nawet przed samym sobą – decyzji, by zostać kapłanem, wstąpić do klasztoru o surowej regule, do zawodowej armii lub do partii politycznej o charakterze skrajnie autorytarnym, w ustroju dyktatorskim, i podlegać zwierzchniej woli, która zwalnia jednostkę od dokonywania wyboru w minimalnym nawet zakresie. Wszędzie tam obowiązuje bezwzględne posłuszeństwo i rozkaz decyduje o życiu każdego członka zhierarchizowanej zbiorowości. Rodzi się w niej kult jednostki, przybywa w jej szeregach ludzi o mentalności masochistycznej, niewolniczej lub pańszczyźnianej: im dotkliwiej ekonom harapem po gębie przeciągnie, im bardziej sponiewiera godność osobistą, tym pokorniej się go kocha.

5. Wiara

Problem wiary to zarówno problem-zagadnienie, czyli pytanie, jak problem-kłopot, i to najeżony wielu kolcami. Nie wszystkie potrafię usunąć. Oto jeden z nich.

Gdyby mnie zapytano: „czy jesteś wierzący, czy też jesteś niewierzący?”, nie udzieliłbym odpowiedzi. I to nie dlatego, że jestem oportunistą, który z tych czy innych względów usiłuje wymigać się od jasnej, zobowiązującej deklaracji na ten temat. Aby ją złożyć w sposób pełni odpowiedzialny, trzeba

wiedzieć, co znaczą zdania: „jestem wierzący”, „jestem niewierzący”. Tymczasem znaczenie słów „wiara”, „wierzę” „wierzący”, gdy występują samotnie, bez dopełnienia, jest niekompletne. „Czy jesteś wierzący? Czy wierzysz?” – „Ale w kogo, w co?” – „W Boga, oczywiście!” – „To znaczy, w kogo? To znaczy, w co?”

Dopóki „wierzę” jest pozbawione koniecznego uzupełnienia, deklarację „wierzę w X”, „wierzę, że p”, obarcza błąd niedopowiedzenia. Nie sposób wierzyć, choć się nie wie, w kogo, choć się nie wie, w co, choć się nie wie, że co. Aby ten błąd usunąć, trzeba by takie uzupełnienie dodać. Ale uzupełnienie faktyczne, nie zaś tylko formalne, a zarazem tylko pozorne. Takie formalne lub pozorne uzupełnienia byłyby wykrętami. Wykrętem także byłoby zasłanianie się tajemnicą, której ograniczony umysł ludzki nie zdoła zgłębić, a nawet nie powinien podejmować prób w tym kierunku. Skoro wiara jest dla ludzi, skoro to oni mają wierzyć, muszą wiedzieć, w co wierzą. Nie wystarczy więc – jeśli mamy na myśli religię rzymsko-katolicką – zacytować początek *Składu apostołskiego*: „Wierzę w Boga...” Nie ma tam wyjaśnienia, w kogo wierzysz, w co wierzysz. Jest tylko wyliczenie osób, rzeczy i zdarzeń, w które wierzyć należy.

Nie brak wśród nich jawnych sprzeczności: Bóg jest przedwieczny, to znaczy, że istniał już wtedy, gdy jeszcze nie zaczął się czas, cokolwiek by to miało znaczyć; jest odwieczny i wieczny, to znaczy, że zawsze istniał i zawsze istnieć będzie. A mimo to Jezus, który podobno sam oświadczył, że jest Synem Bożym, według przekazu kiedyś się narodził, kiedyś, czyli w pewnym momencie czasu, gdzieś, w jakimś określonym miejscu, jakoby w stajence w Betlejem, więc wtedy zaczął istnieć (w zwykłym realnym sensie słowa „istnieć”), i kiedyś, w pewnym określonym miejscu, umarł na krzyżu, więc w tym momencie przestał istnieć („istnieć” w tymże zwykłym sensie, a więc egzystencjalnym, nie zaś subsystemalnym). Wynika to z relacji naocznych świadków, jak też z tego, iż zmartwychwstał (w zwykłym znaczeniu czasownika „zmartwychwstać”, w którym aby powstać z martwych, trzeba przedtem być martwy). A zatem Jezus, gdy się narodził, zaczął istnieć; gdy umarł na krzyżu, przestał istnieć, następnie gdy zmartwychwstał, ponownie zaczął istnieć po przerwie, kiedy był martwy, czyli kiedy nie istniał. Ponadto Jezus, jako syn Boży, są wraz z Bogiem Ojcem i Duchem Świętym trzema osobami stanowiącymi jedność, mianowicie Boga. Skoro według drugiej sprzeczności („w Trójcy Św. Jedyny”) Jezus kiedyś się narodził, kiedyś umarł i kiedyś zmartwychwstał, tym samym i Pan Bóg przez pewien czas nie istniał, mianowicie póki się Jezus nie narodził, następnie przez pewien czas istniał (za życia Jezusa), potem przez kilka dni nie istniał (gdy Jezus martwy leżał w grobie), a wreszcie znowu istnieje (po zmartwychwstaniu Jezusa). Ślepa wiara ma tych sprzeczności albo nie zauważyć, albo przejść nad nimi do

porządku jako przed niebyłymi, albo wyperswadować wyznawcom, że w jakiejś nieznanej kanonicznej wersji tej relacji nie ma tych wszystkich sprzeczności i że zakradły się na skutek tego, iż powstawała przez bardzo długi czas, w różnych okresach i w różnych miejscach, miała różnych autorów, niejednakowo poinformowanych, krytycznych i wykształconych, różnych kopistów, bardzo wielu komentatorów oraz tłumaczy, wreszcie była przekazywana nie tylko na piśmie, ale nieraz ustnie, a w okresach terroru – szeptem.

Aby sprecyzować, w kogo lub w co wierzy osoba, która deklaruje, że wierzy w Boga, nie wystarczy też, by poprzestała na wyrecytowaniu litanii cech, uchodzących wśród ludzi danego czasu i miejsca za najwyższe, najdoskonalsze, najwspanialsze i najbardziej chwalebne, w najwyższym stopniu dodatnich, które zdobią tego kogoś lub to coś, w kogo lub w co ludzie wierzą lub powinni wierzyć. Rezultatem będzie jedynie wgląd w różne wyobrażenia lub koncepcje, które w tych ludziach powstawały, powstają lub będą się rodzić, ilekroć myślą o tym kimś bądź czymś, kto lub co w ich języku nosi nazwę „bóg”. Ale ten ktoś lub to coś nadal pozostanie zagadkowe i nieosiągalne. Mimo to wiara w to niewiadome uchodzi za dar, za łaskę.

Określenie „łaska wiary” spotyka się z uznaniem wyznawców każdej religii, zwolenników każdej ideologii, twórców mitów i wszelkich wierzeń. Łaskę ktoś mocny lub wszechmocny, jeśli zechce, świadczy istotom słabszym, zależnym od jego woli, tym, którym postanowił okazać litość lub dać nagrodę. Toteż z określeniem „łaska wiary”, i jemu pokrewnymi, związane jest założenie istnienia kogoś takiego lub czegoś takiego nadrzędnego, sugestia, że istnieje Istota, bliżej nie określona, która ludziom tę wiarę zaszczerpiła lub w nich ją tchnęła. Jest to założenie bardzo śmiałe, a przy tym zagadkowe, bo przed obdarowanymi uchyla tylko rąbek tajemnicy, odsłania zaledwie okruszynę wiedzy: to tylko, że taki ktoś lub coś takiego istnieje i że rozdziela łaski.

W odróżnieniu od zwrotu „łaska wiary” religie i wszelkie systemy wierzeń sprzeciwiają się określeniu „opium dla mas”, ukutemu przez materializm dialektyczny i historyczny. Zwrot „opium dla mas” znaczeniem różni się od poprzedniego. Opium, jak wiadomo, jest silnym narkotykiem, zawierającym morfinę, kokainę i papawerynę; działa przeciwbólowo i odurzająco, wywołuje wizje i powoduje uzależnienie. Palarnie opium, tłumnie odwiedzane przez ubogą ludność, rozmnożyły się na Wschodzie, kolebce wielu wierzeń i wyznań. Moim zdaniem w jednym i drugim określeniu, „łaska wiary” i „opium dla mas”, jest ziarno trafności: i wiara, i opium przynoszą ulgę, przytępiając krytycyzm kierowany rozumem. Aby nie urazić wierzących ani niewierzących (choć przypuszczam, że ci pierwsi nie potrafiliby własnymi słowami, nie uciekając się do gotowych metaforycznych sformułowań w języku tej czy innej religii, sprecyzować, w co wierzą, a ci drudzy – w co nie wierzą), odcedzam pragmatyczne składniki w każdym z przytoczonych zwrotów: aprobatywny

w zwrocie „łaska wiary”, a pejoratywny w zwrocie „opium dla mas”. Co wtedy pozostaje pod względem semantycznym w węższym sensie? W pierwszym: że wiara religijna jest środkiem łagodzącym naturalny lęk przed śmiercią. W drugim – że oprócz tego masie prostych biednych ludzi pozwala na krótki czas zapomnieć o nędzy ich istnienia i przeżyć chwile iluzji, iż pod mozną opieką, godną ich zaufania, są bezpieczni, syci i mogą się cieszyć życiem. Notabene ironia tkwi w tym, że ideologia, która masom prostych szarych ludzi powierza bardzo trudne i wielkiej wagi zadanie dokonania jakoby zbawiennej wszechświatowej rewolucji ekonomicznej oraz społecznej, zarazem tym samym masom przypisuje naiwność i łatwowierność, skoro to one właśnie jako najpierwsze padną ofiarą wmówień i bezpodstawnych obietnic oraz halucynacji, na które sami się narazili jako palacze opium.

Jeszcze jeden kolec tkwiący w pojęciu wiary utrudnia wniknięcie w wartość poznawczą słowa „wierzę”. W zdaniu „wiem, że *p*”, słowo „wiem” bezpośrednio odnosi się do wiedzy, a więc określonego stanu poznawczego osoby, która wie, że *p*. Zdanie to interpretuje się przeważnie, choć nie jedynie, jako złożone: z koniunkcji zdań „wierzę, że *p*”, które określa przekonaniową postawę emocjonalno-poznawczą wypowiadającego powyższe słowa, zdania „*p*” (czyli zdanie *p* jest prawdziwe), precyzującego, czego ta postawa dotyczy, oraz w pewnych wypadkach w dodatku ze zdania „potrafię uzasadnić, że *p*”, które ma wyjaśnić, dlaczego taką pozytywną postawę poznawczą nadawca zdania zajął. Znaczenie „wierzę” zostało zatem wplecione w znaczenie „wiem” jako składnik tego drugiego. Budzi się tu refleksja, że różne bywają podstawy, motywy oraz geneza owego „wierzę”: np. czasem wierzę, że *p*, gdyż wiem, że *p*, bo na własne oczy to skonstatowałem, np. wierzę, że Sopot leży nad morzem, bo byłem w tej miejscowości i na własne oczy to widziałem. A czasem wierzę, że *p*, gdyż to moje przekonanie zostało oparte na prawomocnym wnioskowaniu, np. wierzę, że kwadrat ma dwie przekątne, które przecinają się pod kątem prostym w punkcie jednakowo odległym od wierzchołków tej figury, wynika to bowiem z definicji kwadratu i jako wniosek z kroków dowodowych. Od tych dwóch pierwszych wypadków należy odróżnić trzeci, kiedy wierzę, że *p*, bo chcę wierzyć lub muszę wierzyć, gdyż mi ta wiara, najlepiej ślepa wiara, jest do czegoś potrzebna lub konieczna. I wówczas *contra fidem credo*, bo muszę uwierzyć w praktycznym znaczeniu owego „muszę” (będzie dla mnie gorzej pod względem *w*, jeśli nie uwierzę). Wówczas zdanie „wierzę, że *p*” jest prawdziwe w sensie pragmatycznym, jako skuteczna wskazówka zachowania lub postępowania, lub jest prawdziwe w sensie utylitarystycznym, jako zalecenie, pod pewnym względem pożyteczne dla osoby, która się doń stosuje.

Proponuję więc rozróżnić dwa rodzaje wiary: racjonalną oraz irracjonalną. Wiara racjonalna zasadza się na spostrzeżeniu lub na wnioskowaniu. Jest stanem przekonania, że *p*, który zjawia się jako wynik poznawczy, następujący

po spostrzeżeniu lub na podstawie wnioskowania. W odróżnieniu od wiary racjonalnej wiara irracjonalna inauguruje ciąg zdarzeń i stanów psychicznych podmiotu doznającego, występuje jako pierwszy człon przeświadczenia, że *p*, i jest przeżyciem natury uczuciowej, a nie jak ta pierwsza – intelektualnej. Teologia uważa wiarę za akt woli, akt, czyli jednostkę działania lub zachowania. Wierzę, że *p*, bo chcę w to uwierzyć lub muszę uwierzyć, a zatem sobie tę wiarę nakazuję lub spontanicznie jej doznaję. Dlatego wierzący mówią, że jest ona darem wiary lub łaską wiary.

Analizując sąd „wiem, że *p*” jako koniunkcję zdań „wierzę, że *p*”, „*p*” i w pewnych wypadkach zdania uzasadniającego fakt, iż wierzę, że *p*, nie przesądzam – jak wiadomo – o kolejności zdania „wierzę, że *p*” w tej koniunkcji. Może ona zatem być zarówno schematem zdania informującego o wiedzy, która uzasadnia wiarę racjonalną, jak o wiedzy pozornej, implikowanej przez wiarę irracjonalną.

Jednym z półśrodków klarowania sensu wyrażenia „wiara w to a to”, które odnosi się do bytu hipostatycznego, jest zastąpić namysł nad tym zwrotem namysłem nad zdaniem „wierzę, że tak a tak”, gdzie owo „że tak a tak” jest zdaniem podrzędnym intensjonalnego zdania psychologicznego o wierzeniu. Jeśli nawet owo zdanie złożone jest prawdziwe w sensie klasycznym, co notabene trudno zweryfikować w sposób intersubiektywny, nie daje to gwarancji prawdziwości zdania podrzędnego. Myślę, że najczęściej przyjdzie nam się zadowolić prawdziwością w sensie pragmatycznym tego zdania podrzędnego: jest ono prawdziwe, bo np. skutecznie uśmierza nasz lęk przed umieraniem i śmiercią, a zatem jest też prawdziwe, bo dla danej osoby pożyteczne jako środek autopsychoterapeutyczny. Można wątpić, czy dopominanie się klasycznej prawdziwości tego zdania podrzędnego, np. zdania „*X* zakończywszy życie doczesne, z chwilą śmierci rozpoczął żywot wieczny”, jest w tej sytuacji rozsądne, skoro nie znamy sposobu jego intersubiektywnego zweryfikowania empirycznego. Poprzestaję więc na posługiwaniu się pojęciem prawdziwości w sensie pragmatycznym; czynię to z poczuciem częściowej porażki. Zarazem usiłuję uświadomić sobie i innym, co znaczy owo „to a to” i co znaczy owo „tak a tak”. Taką drogą starałbym się podążać w innych rozważaniach, tych mianowicie, które za przedmiot mają to, co przyrodzone, a nie to, co nadprzyrodzone. Dlatego pytanie „w co wierzysz?” starałem się zastąpić pytaniem „czy wierzysz, że *p*”. Następnie uwzględniam to, że słowo „wierzę” ma niejeden przedmiot, a ponadto różne odmiany i różne stopnie nasilenia przekonaniowego. Nawet tzw. „wierzący” inaczej wierzy, że w Warszawie w maju po godzinie 21.00 się ściemnia, niż że po śmierci będzie nadal żył w jakimś tajemniczym sensie tego słowa. O pierwszym zdarzeniu potrafi opowiedzieć nie uciekając się do przenośni, o drugim – ani rusz. A jeśli by swe twierdzenia zawierające metafory uważał za ostateczne i zadowalające, dałby

tym samym do zrozumienia, że sądzi, iż są metafory nie mające przekładu na sformułowanie literalne, a mimo to wystarczająco – jak na dane rozważania – bliskoznaczne ze sformułowaniem nieprzenośnym. Widocznie jest zdania, że są wypadki, w których czegoś „nie da się powiedzieć dosłownie”. Taka opinia jest przyznaniem się do bezradności, a to skazanie na metaforę, od którego rzekomo nie ma apelacji, stanowi sygnał alarmowy, ostrzegający przed popełnieniem hipostazy.

W rozważaniach na temat poznawczego statusu zdań religii wyłania się więc problem wiary jako subiektywnej akceptacji tzw. „prawd wiary”, czyli *sui generis* pewników religii, lub rozmyślnej zgody na ich przyjęcie w systemie na podobieństwo aksjomatów w systemie dedukcyjnym, dogodnych, bo operatywnych.

Do pragnień przetrwania, marzeń o życiu pośmiertnym, wyobrażeń o nim i chwil ledwo tłącej się nadziei na nie dołącza się w wielu ludziach irracjonalna wiara, że to „jakoś” nastąpi. „Jakoś” znaczyć może, iż spełni się *per fas et nefas*, w sposób godziwy albo i niegodziwy: godziwy, jak np. dzięki skrajnej ascezie, przyspieszającej śmierć, która dla wierzących nie jest końcem życia, lecz tylko przejściem do innej jakoby formy istnienia, zwanej żywotem wiecznym; niegodziwy – jak choćby na skutek zapisania duszy diabłu i zastosowania sztuki czarnoksiężskiej w zamian za wieczne szczęśliwe bytowanie w młodości nie mającej kresu, w pełni sił, w dostatku i powodzeniu (np. Faust, Pan Twardowski).

Nie wiem, czy podobne nadzieje rodzą się i w osobnikach niektórych przynajmniej gatunków zwierzęcych i koją ich naturalny, instynktowny i nieokreślony lęk przed śmiercią, który odczuwają – jak się zdaje – chyba wszystkie istoty doznające, tj. obdarzone świadomością. Na pewno zaś nawet te najbardziej prymitywne ulgę w lęku i uwolnienie na pewien czas od napięcia znajdują, tak jak my, we śnie, ale we śnie bez snów, zwanym przez poetę „bratem śmierci”, bo podpowiada, co nas po śmierci być może czeka: stan radykalnego uśpienia świadomości, stan całkowitej jej nieobecności.

O śnie mówi przysłowie oparte na przeciwstawieniu: „Sen – mara, Bóg – wiara”. Dopuszcza ono różnorakie interpretacje. M.in.: „sen” może to być funkcjonalny stan mózgu albo marzenie senne (a śnią nie tylko ludzie, ale i przynajmniej niektóre zwierzęta). Wtedy to skrótowe sformułowanie głosiłoby, albo że to, co się przyśni, nie zasługuje na uwierzenie, bo pozbawione jest znamion rzeczywistości, albo że w stanie uśpienia występują sny. Z kolei skrót „Bóg – wiara” może znaczyć albo, że w odróżnieniu od snów Bóg zasługuje na wiarę, albo że istnienie Boga zależy od uwierzenia w nie, jako od warunku koniecznego albo wystarczającego, albo sprzyjającego, albo takiego i takiego zarazem. Pojęcia wiary, wierzenia są nieodłączne od pojęcia religii.

Warto pamiętać, że z trójcy „wiara, nadzieja, miłość” *Biblia* wydziela miłość, jako najważniejszą, a pozostawia wiarę, zdolność bezrefleksyjnego,

spontanicznego wierzenia. Zdolność tę posiadają przede wszystkim ludzie nie nawykli do analizowania własnych myśli, uczuć, przeżyć i stanów psychicznych. Ich wiara, polisa na żywot wieczny otrzymywana od najwcześniejszego dzieciństwa, na ogół spontaniczna, oczywista dla nich sama przez się, niekiedy bezrefleksyjna i deklaratywna, manifestująca się w zachowaniach, a pozbawiona wpływu na morale oraz wybór i kierunek czynów, często idzie w parze z nadzieją; tę ostatnią zaś – wiadomo, czyją matką nazwał sceptycyzm prostego ludu, najważniejszego wszak i najliczniejszego rzecznika wiary.

Ale nie tylko szary człowiek korzysta z dobrodziejstwa wiary. Bywa ona udziałem także jednostek o skomplikowanym i bogatym wnętrzu, umysłów poza tym krytycznych. Jednak ich wiara jest inna, odmienne są jej geneza i przyczyny, a także funkcja, zadanie, cel i skutek. Pamięć podsuwa takie zdarzenie: w niedługi czas po Powstaniu ojcowie dwóch moich poległych kolegów przekonywali mnie usilnie i żarliwie w czasie wielokrotnych odwiedzin i rozmów telefonicznych, że ich synowie na pewno żyją. Do dziś słyszę słowa jednego z nich, człowieka wykształconego, intelektualisty i światowca: „ja przecież znam swego własnego syna, on nie dałby się zabić, na pewno jest na Zachodzie, zobaczy pan: wkrótce przyśle wiadomość, przecież taka była między nami umowa”. Nie wiem, jak mnie odszukał drugi ze zrozpaczonych, ojciec mojego kolegi jeszcze ze szkoły powszechnej Reja, z której osiem lat przed Powstaniem przeniosłem się do Gimnazjum i Liceum Batorego i straciliśmy ze sobą kontakt, gdy obaj mieliśmy po niespełna dwanaście lat. Każdemu z tych nieszczęśliwych ojców wystarczyło wiary, żeby mnie przekonywać, iż ich synowie ocaleli, ale dla siebie samych było jej już za mało. Dlatego zadaniem, które mi nieświadomie wyznaczyli, było, abym to ja uwierzył, że ci chłopcy żyją, uwierzył i powiedział to – wbrew oczywistości – by w ten sposób dodać mocy ich coraz bardziej wątłej nadziei, a więc pospieszyć im na ratunek: skoro nawet ktoś spoza rodziny, ktoś właściwie obcy, nie stwierdził stanowczo, że polegli – nie miałem zaś serca tego wprost powiedzieć, a więc odebrać im resztkę nadziei – to ich synowie może żyją. Osieroceni, pogrążeni w głębokiej żałobie, musieli wierzyć w ocalenie swych synów; ta wiara i nadzieja były dla nich ucieczką, ratunkiem przed zabójczą skrajną rozpaczą, przed utratą sensu własnego życia. Myślę, że taki właśnie jest mechanizm budowania w sobie wiary, zarówno religijnej, jak w tym wypadku – niereligijnej, kiedy jest nam niezbędna, bo fakty nie pozostawiają ani odrobiny nadziei. Wtedy tonąc musimy chwycić się brzytwy, bo to ona stała się naszym jedynym ratunkiem: może kołem ratunkowym, a może mechanizmem, który się w nas automatycznie uruchamia w sytuacjach bez wyjścia.

Jak widać, obu ojców z opisanego splotu zdarzeń znałem osobiście, rozmawiałem z nimi, byłem naocznym świadkiem ich zachowań. Mimo to moje domysły na temat motywacji ich wiary, że synowie żyją, są obciążone zbyt

znacznym ryzykiem, aby powyższa relacja mogła pretendować do rangi prób rekonstrukcji faktycznych doznań każdego z tych ojców.

Nie każdy jest posiadaczem tego koła ratunkowego, tego mechanizmu samoobrony. Oba są kosztowne i bardzo trudne do zdobycia. Ceną jest zgoda na pewne założenia oraz akceptacja niektórych pojęć i twierdzeń, jedna i druga udzielone wbrew poglądom zwolennika empiryzmu, antyirracjonalizmu oraz etyki niezależnej. Niektórzy ludzie takie koło ratunkowe, spadochron czy mechanizm wiary otrzymują w genetycznym spadku po rodzicach, jako naturalną skłonność psychiczną: zdolność, do tego, by na wiarę, bez oporu ze strony własnego krytycyzmu, przyjmować to, co im do życia niezbędne. W innych, na odwrót: właśnie krytycyzm jest wrodzony lub zostaje nabyty w okresie dojrzewania i kielzna naturalną skłonność bądź hamuje wpływ tradycji zastanej w okresie dzieciństwa lub odrzuca wzorce do naśladowania otrzymane od opiekunów i otoczenia. To pewne, że ci, co mają taki ekwipunek ratunkowy, godni są pozazdroszczenia, gdyż doznali „łaski wiary”, dzięki czemu łatwiej im będzie znieść myśli o śmierci i złagodzić w sobie lęk przed nią. Dlatego za nietrafne uważam porzekadło „Pan Bóg, gdy chce kogoś pokarać, to mu rozum odbiera”. Moim zdaniem, na odwrót: „Pan Bóg, gdy chce kogoś nagrodzić, to mu rozum odbiera”, rozum, czyli tutaj zdolność odróżniania faktów empirycznych od marzeń oraz iluzji zrodzonych z usilnych pragnień, a pozostawia wiarę i nadzieję, których nie ogranicza ani nie unicestwia chłodny krytycyzm pod dyktando rozumu. To drugie powiedzenie jest przewrotne, może nawet ociera się o sprzeczność, bo uznając władzę boską nad naszym krytycznym rozumem, zarazem od jego uśpienia uzależnia wiarę człowieka, że z łaski tegoż Boga czeka go nagroda, żywot wieczny, a więc i wyzwolenie od lęku przed śmiercią.

6. Cud

W niektórych religiach i mitologiach ludzie otaczają czcią i miłością należną bóstwu kogoś, kto sam oświadczył, że jest bogiem. W innych ktoś oznajmia, że gdy spał samotnie, Bóg mu się „objawił” i przekazał jakieś posłanie do ludu, jakąś misję czy polecenie. Nikogo przy tym nie było, więc słuchaczowi pozostaje – zależnie od woli i chęci lub pragnienia – uwierzyć albo nie uwierzyć. Czasem, gdy „objawienia” doznaje więcej niż jedna osoba, obecność świadków i zgodność ich relacji mało jest miarodajna, bo są to małe dzieci, jak w Fatimie, czy dziewczęta w wieku zaczynających się przemian hormonalnych i rozbudzonej fantazji oraz uczuciowości, jak w Gietrzwałdzie. Innym razem mamy do czynienia z przypadkami, które wyjaśnia psychologia tłumu i psychologia postaci, jak w następującym przykładzie.

W latach kampanii komunistycznej przeciw religii, zakonnikom i księżom, z wyjątkiem „księży-patriotów”, pewnego dnia przed kościołem św. Augustyna na Dzielnej w Warszawie zatrzymało się kilka osób, coś sobie pokazywali w górze nad krzyżem świątyni. Wkrótce przyłączyli się do nich inni, z garstki urosła gromadka, później tłum: rozeszła się pogłoska, że nad kościołem „objawia się” Matka Boska. Pośród zebranych, przeważnie starszych kobiet, pojawili się przekupnie z dewocjonaliami oraz świecami, kwiatami, wianuszkami, watą cukrową i pyzami, jak podczas odpustu. Z nastaniem zmroku i nocy ludzie się nie rozchodzili, modlili się klęcząc na chodniku, mimo że miejscowy proboszcz doradzał im wrócić do domów. Ktoś oświetlił krzyż bocznym reflektorem samochodowym, „szperaczem”, zjawiała się Milicja, bo „szperacze” są niedozwolone. Zaszedłem tam dwa razy: za dnia i po zapadnięciu ciemności; nic szczególnego nad wieżą kościelną nie dostrzegłem: w dzień przepływające obłoki przybierały, jak zwykle, różne kształty i przy odrobinie wyobraźni każdy mógł się dopatrzeć – to jakichś budowli, to zwierząt czy postaci ludzkich. Znowu w nocy refleksy światła i przepływających chmur i mgieł wywoływały chwilami wyobrażenie kręgu czy aureoli. Są to znane zjawiska i znane złudzenia. Widz sam nimi steruje, jak wówczas, gdy patrząc na narysowany przezroczysty sześciąt, zależnie od swej woli – raz od dołu widzi jego podstawę, a raz od góry jego dach. Zazwyczaj też są to zdarzenia, które nie czynią zadość metodologicznemu postulatowi intersubiektywnej sprawdzalności empirycznej. Ludzi zaś delegowanych przez instytucję religijną, aby ocenili autentyczność takiego zdarzenia, nieraz trudno uznać za bezstronnych sędziów, bo słuchają głosu poety „Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!”, więc wpatrują się w „prawdy żywe”, byle tylko cud zobaczyć.

Pojęcie cudu zostało wplecione w sformalizowane postępowanie zwłaszcza w tych religiach, które kultem otaczają nie tylko bóstwo lub bogów, ale i rzeszę świętych, opiekunów i patronów poszczególnych zawodów, rodzajów działalności lub pomocników człowieka, wyspecjalizowanych w prozaicznych nieraz czynnościach, jak poszukiwanie i odnajdowanie zagubionych przedmiotów. W procesach kanonizacyjnych, skrupulatnie skodyfikowanych, religia nie cofa się przed łączeniem nadprzyrodzonego natchnienia Ducha Świętego z omylnością i ograniczeniami umysłu ludzkiego, który mocą decyzji kilku starszych panów (ale na razie niestety¹ nie pań również), panów, których (poza godzinami sesji kanonizacyjnych) światło Ducha Świętego – jak się zdaje –

¹ Na to „niestety” przystałyby, jak się przekonałem, nie wszystkie panie, o czym świadczy moja rozmowa sprzed lat. Urzędniczka w Administracji uniwersyteckiej, pani w wieku określonym dziś jako „50+”, a wtedy „w wieku trolejbusowym”, bo trolejbusy warszawskie nosiły numery „51” i wyższe, zapisała się na studia teologiczne, przeznaczone dla „trzeciego wieku”. Filozofia, teologia... – bądź co bądź, koleżanka po fachu. Nawiązałem rozmowę i zapytałem, czy chciałaby, żeby kobiety były księżmi. Ku memu zaskoczeniu usłyszałem zdecydowane

nie zawsze oświeca, otóż owych kilku panów autorytatywnie rozstrzyga, że pewne zdarzenie było cudem, nie zaś zbiegiem okoliczności lub czymś bardzo rzadkim bądź dotychczas nie zaświadczonej oraz nie wyjaśnionym, i że ten cud nastąpił za wstawiennictwem tego właśnie człowieka, którego sprawę proces kanonizacyjny rozpatruje. To bardzo śmiałe założenia.

We wszystkich tego rodzaju wypadkach główną rolę odgrywa wiara. Powiadają o niej „wiara czyni cuda” lub „wiara góry przenosi”. Ma się wtedy na myśli, że dzięki uwierzeniu we własne siły, czyli – jak się teraz mówi – pozytywnemu myśleniu i optymizmowi, można osiągnąć to, co zrazu wydawało się niemożliwe do osiągnięcia. Wydaje się jednak, że w wymienionych tu przykładach zdanie „wiara czyni cuda” ma inne znaczenie: nasza wiara, nasze *wishful thinking*, sprawia, iż za cud poczytujemy zdarzenie, które faktycznie należy do kategorii naturalnych, a zatem jest jednym ze składników rzeczywistości empirycznej, jak w powyższych „objawieniach” rojenia kilkuletnich dzieci, których fantazja została pobudzona opowiadaniem o Bogu i świętych, autosugestia pobożnych dziewcząt, złudzenia zmysłowe tłumy czy wmawianie sobie, wzmocnione świadomością, że i inni jednocześnie to samo przeżywają, i czerpanie mocy z tego poczucia zgodności przeżyć z innymi ludźmi, wreszcie sugestywne szczegóły stylistyczne relacji o „cudach”. Mowa w niej, że Bóg „objawił się pogrążonemu we śnie”, nie zaś, że „przysniło mu się”, że dzieciom lub dziewczętom „objawiła się Matka Boska”, a nie, że wydało im się, że widzą postać taką jak na świętych obrazach w kościele.

Tymczasem gdyby to, kogo te dzieci – opowiadają, że – „spotkały”, a te dziewczęta, że „zobaczyły”, śpiący zaś starzec twierdził, iż „otrzymał” przykazania, nie było otoczone kultem religijnym i gdyby np. owe kilkuletnie dzieci opowiadały, że spotkały potwora o trzech głowach krokodyla, szponach sępa i skrzydłach nietoperza, gdyby zatem splendor należny „spotkanej” postaci nie wpływał na ocenę całego zdarzenia, przypuszczam, że uznano by je za przywidzenie, wybryk wybujałej fantazji czy sen, wywołany pragnieniami śpiącego, by stać się pośrednikiem między Bogiem a ludźmi. Myślę, że w taki właśnie sposób z własnej woli i chęci lub pragnienia, to, co naturalne, przenosimy do kategorii cudów, a więc do sfery zjawisk nadprzyrodzonych.

Nieco inną interpretację dopuszczają takie zdarzenia jak uzdrowienie ślepego z Betsaidy, któremu Jezus – jak opowiadają ludzie, którzy to widzieli lub o tym słyszeli – przywrócił wzrok smarując jego oczy swoją śliną wymieszaną z ziemią. Z punktu widzenia dzisiejszej okulistyki przywracanie wzroku nie jest to cud, lecz, np. w wypadkach katarakty, czyli zaćmy, rutynowy zabieg mikrochirurgiczny, wykonywany w warunkach ambulatoryjnych.

„NIE!”. Dlaczego? „Bo kobiety są za mało tajemnicze”. Gdy nie zrozumiałem, wyjaśniła: „mogłyby się wygadać, co usłyszały na spowiedzi”. J.P.

Podobno bywają specjaliści, którzy tego rodzaju operacje przeprowadzają dziś nie posługując się skalpelem ani wiązką promieni laserowych, lecz palcami. Nie jest wykluczone, że i przed dwoma tysiącami lat mieli podobnie biegłych poprzedników. Ponownie więc okazuje się, że to, co bywa poczytywane za cud, nadal pozostaje w kręgu zdarzeń, których istnienie nie wymaga wiary, skoro ich zajście jest stwierdzalne za pomocą doświadczenia zmysłowego. Wydaje mi się, że takie podejście do zjawiska nazywanego „cudem” bardziej by odpowiadało mentalności ludzi XXI wieku.